

Grażyna Jagielska



korespondent



Książka pełna tajemnic.
Poruszająca, intrygująca – subtelna
i okrutna zarazem,
jak krystaliczne powietrze Pandźsziru.

Olga Stanisławska



w serii ukazały się:

Artur Baniewicz *Góra Trzech Szkieletów*

Artur Baniewicz *Drzymalski przeciw Rzeczpospolitej*

Anna Bojarska *List otwarty do królowej Wiktorii*

Anna Bojarska *Ja*

Marek Bukowski *Wysłannik szatana*

Andrzej Horubała *Farciarz*

Witold Horwath *Seans*

Krystyna Kofta *Krótką historią Iwony Tramp*

Marek Ławrynowicz *Kino „Szpak”*

Marek Ławrynowicz *Pogoda dla wszystkich*

Gabriel Meretik *Kryptonim „Luksemburg”*

Tomasz Mirkowicz *Pielgrzymka do Ziemi Świętej Egiptu*

Joanna Rudniańska *Miejsca*

Hanna Samson *Pułapka na motyla*

Małgorzata Saramonowicz *Siostra*

Małgorzata Saramonowicz *Lustra*

Jerzy Sosnowski *Apokryf Agłai*

Jerzy Sosnowski *Linia nocna*

Marcin Wolski *Alterland*

Mariusz Ziomecki *Lato nieśmiertelnych*

Grażyna Jagielska

korespondent

Partyzanci Malika przyszli po nich tuż przed świtem, niemal w ostatniej chwili.

Od jeziora Dal ciągnął przenikliwy nocny chłód, kiedy Matyasowie schowali się w jednym z zaułków Starego Miasta, na tyłach meczetu, który wczoraj wskazał im Wysłannik. Teraz wszystko wyglądało inaczej niż za dnia, w słońcu. Nad wodą zawisła mgła i zaczęła się wciskać w uliczki, góry znikły zupełnie. Nie było też widać wieży telewizyjnej, która miała być punktem orientacyjnym, i Matyasowie zwątpili, czy czekają we właściwym miejscu.

Pachniało miastem stojącym nad wodą i kwiatami lotosu, które o tej porze roku zaczynały przekwitać. Jesień przyszła szybciej niż zwykle i była chłodna. Kaszmirczycy sami się temu dziwili, mówili, że jeszcze tydzień, dwa, i będzie po wszystkim, z zielonych, pachnących lotosowych upraw pozostanie wodne ściernisko. Zagajniki wokół jeziora już pobrązowiły, a woda nabrała barwy ostrego błękitu. Dolina starzała się w okamgnieniu, surowo, jakby chciała powiedzieć, że skoro to nieodwołalne, nie będzie się ze sobą cackać.

Tej nocy znów próbowali dostać się do dowódcy powstania, po raz trzeci w ciągu miesiąca.

– Zaraz zrobi się jasno, będzie za późno – powiedział Adam Matyas.

Pierwsze podejście, sprzed dwóch tygodni, było zupełnie nieudane. Nikt po nich nie przyszedł. Nie dowiedzieli się dlaczego, nie było kogo spytać. Wysłannik pojawił się ponownie dopiero po tygodniu i niczego nie wyjaśnił. Zawiózł ich tylko na miejsce następnego spotkania i z okna samochodu pokazał zakład tkacki, przed którym mieli czekać o tej złudnej, mętnej godzinie między nocą a dniem.

– Pełna konspiracja – zauważyła Caroline.

Widać było, że zaniepokojony jest nawet Opiekun, człowiek, który organizował dojsie do Malika i od miesiąca przechowywał ich na hotelowej łodzi w północnej części jeziora, z dala od centrum. Hindusi nie zaglądali tam prawie nigdy. W ogóle bali się tego jeziora i tych gór, trzymali się śródmieścia i stałego lądu, tylko za dnia wypuszczając w miasto samochody z żołnierzami. Wieczorem urządzali oblavy na partyzantów albo zaszywali się w bazach i za ulicznymi barykadami z worków.

– Sprawdzają was – hotelarz cmoknął z niezadowoleniem.

Tuż po północy przychodził do ich pokoju, żeby napalić w piecyku i jak zwykle przypomnieć, że śpią w tym samym łóżku, co Mick Jagger w osiemdziesiątym dziewiątym.

- Tylko sześć lat, sześć lat - powtarzał, pełen niedowierzania. - Strach, jak się wszystko zmieniło! Wtedy żyło się jeszcze normalnie, prowadziło jakieś interesy, a teraz? Trzecie powstanie mamy i jesteśmy jakby między młotem a kowadłem. Hindusi nas gnębią za współpracę z Frontem Wyzwolenia, do więzień wsadzają, a nie współpracować z mudżahedinami strach. Też potrafia znaleźć za skórę. No i jak tu żyć? Ludzie sami już nie wiedzą, co lepiej, czy żeby nas Pakistańczycy wzięli, czy Hindusi nam trochę odpuścili. Na razie to mamy okupację i tylko co rano trupy rzeką płyną - mówił, układając podpałkę na palenisku.

Pałił w piecyku nocą, bo inaczej rano ubrania były mokre. Za dnia woził dziennikarzy szikarą* po jeziorze, żeby łyknęli świeżego powietrza, ale wołał, jak siedzieli w hotelowej łodzi i nie rzucali się w oczy. Adam na próżno tłumaczył, że musi nawiązać kontakt z miastem, potrzebuje ludzi, nie krajobrazów. Opiekun tylko kręcił głową i mówił, że i tak nikt z nim nie będzie gadał, Kaszmirczycy od dawna nie rozmawiają z obcymi.

- A taki był z nas przyjacielski naród - dodawał z żalem. Wysłał ich na drugie i trzecie spotkanie z partyzantami, już bez większych nadziei, że ktoś po nich przyjdzie.

Przy drugiej próbie Hindusi zrobili nalot na miejską bazę mudżahedinów, wybuchły walki i nikt nie przyszedł pod zakład tkacki. Teraz znów robiło się za jasno.

* szikara - podobna do gondoli łódź, używana na kaszmirskich jeziorach

Patrzyli bezradnie, jak mgła, ostatni sprzymierzeniec, umyka im spod nóg, różowieje i cofa się ku wodzie. Odśloniła nadbrzeże i zobaczyli łodzie-widma po drugiej stronie ulicy, obrośnięte rzęsą, bo do Kaszmiru od dawna nie przyjeżdżali turyści. Hotele butwiały więc w bocznych odnogach jeziora.

Pięć, najwyżej dziesięć minut...

W głębi dzielnicy, za ich plecami rozległo się stuknięcie, jedno, drugie, potem rytmiczne poskrzypywanie pompy i chlupot wody przelewanej z wiadra do wiadra. W górze coś trzasnęło, jakby zbyt gwałtownie otwarta okiennica. Czuło się, że miasto już nie śpi i czeka tylko na koniec godziny policyjnej, żeby wrócić do codziennych zajęć. Nie było wątpliwości – wstawał dzień.

– Szlag by to trafił! – powiedział Matyas.

Opiekun czekał na świt w hotelowej łodzi na nadbrzeżu. Ze zrujnowanego salonu miał widok na dziedziniec meczetu z nieczynną fontanną i dziennikarzy czekających w napięciu po drugiej stronie ulicy. Przez pierwszą, drugą godzinę stali tak nieruchomo, że byli prawie niewidoczni na tle szarego muru. Potem zaczęli przestępować z nogi na nogę, przytupywać z coraz większym zniecierpliwieniem. Drżeli z zimna mimo koców i kubelków z węglem, jakie dał im na drogę. Bał się, że nie wytrzymają.

Tuż przed świtem znad jeziora nadciągnęła mgła i dziennikarze zniknęli mu z oczu. Pośród szarego wilgotnego tumanu on też stracił rozeznanie, sam zwątpił,

czy to się może udać, ale na chwilę przed wschodem słońca ukazali się znowu, przy fontannie, tam gdzie widział ich przed opadnięciem mgły.

Też fach mieli ci ludzie!

Od świtu dzieliły ich minuty.

Matyasowie nawykli do czekania. Tak samo było w Sierra Leone w dziewięćdziesiątym trzecim, rok później w Czeczenii, w Sri Lance i wielu innych miejscach, już tyle razy, że nie spodziewali się niczego innego. Czekanie było nieodłączną częścią zawodu. Czekano się na przewodników, na wywiady, na akcję; w hotelach, sztabach, na dworcach autobusowych i na tyłach frontów. Niemal wszędzie, jakby ta wymuszona przerwa w pogoni za wydarzeniem była zaliczką za news. Płacili ją bez szemrania, jak wszyscy dziennikarze, którym zdobywanie informacji na pierwsze strony gazet i czołówki telewizyjnych serwisów weszło w krew, stając się narkotykiem. Wszystkich razem można było spotkać tylko tam, gdzie zdarzyła się wojna, trzęsienie ziemi, klęska. Potem znikali, rozpraszali się, zapodziewali gdzieś, by wypłynąć w innym punkcie świata, znów zjednoczeni w pościgu za newsem. Tworzyli zamknięty, elitarny klub, jak ludzie złączeni rzadką śmiertelną chorobą, z którą jednak trzeba żyć aż do końca. Czasem ktoś wypadał z gry – popełniał samobójstwo albo ginął, mniej lub bardziej bezsensownie. Bardzo rzadko ktoś rezygnował gnębiony zwątpieniem.

Od jakiegoś czasu, którego sam nie potrafiłby określić, Adam Matyas nie chciał należeć do tej grupy. Jadąc do Kaszmiru, tak oddalonego od dziennikarskich szlaków, pragnął odłączyć się od sfory, choć raz w życiu napisać o czymś, co nie będzie oczywistym Tematem. Szukał materiału, który nie byłby ulotną, powszechną zdobyczą, o żywocie tak krótkim jak serwis informacyjny. Marzył o zrobieniu czegoś prawdziwego.

Kaszmir miał mu to umożliwić i dlatego Adam był gotów czekać.

Wysłannik podjechał półciągarówką w chwili, gdy wysoko na niebie ukazał się zarys zachodnich Himalajów. Jakby na dany znak na jezioro wypłynęły pierwsze pasażerskie szikary i łodzie poławiaczy wodorostów. Ludzie stawali w progach domów, wychodzili na ulicę i wciągali głęboko powietrze, jeszcze przesiąknięte zapachem jeziora, próbując wyczuć zmiany, jakie zaszły przez noc.

Wysłannik wychylił się z okna i kazał Matyasom wsiadać, byle szybko i do szoferki, bo z tyłu ma ludzi i worki z jabłkami.

– Nazywam się Abdul Rahman – powiedział. Namacał w półmroku ich dłonie, zlodowaciałe mimo kubelków z żarzącym się węglem. – Piorunem będziemy na miejscu. Jabłka są dla niepoznaki, nie będziemy ich teraz rozwozić.

Przykro mu, że tak długo się zeszło, powiedział, ale mają kupę roboty, bo trzy dni temu zdekonspirowano

bazę i zakładają nową. – Tuż pod bokiem Hindusów – zaśmiał się. – Oni po jednej stronie ulicy, my po drugiej. Dobre miejsce.

– Duże ponieśliście straty? – zapytał Matyas.

Wyraźnie pojaśniało i mógł już dostrzec puciołowatą twarz Rahmana. Świt, którego przed chwilą tak się bał, teraz przyniósł odprężenie. Jechali ciężarówką z dostawą jabłek, na ulicach pospiesznie rozkładano stragany, ludzie pchali się do autobusów, załatwiali swoje sprawy. Deszcz wisiał w powietrzu.

– Gdzie? W starej bazie? – Abdul Rahman rzucił Matyasowi nieokreślone spojrzenie. Widać było, że sam nie wie, co o tym wszystkim sądzić. – Komendant kazał mi z wami rozmawiać – dodał prawie z pretensją i jakby na usprawiedliwienie.

Adam nie wiedział, jakiego komendanta Rahman ma na myśli, ale czuł, że może spłoszyć Wysłannika byle czym, dlatego nie pytał więcej. Długi czas jechali w milczeniu. Minęli pustą dzielnicę bazarową, domy spalone przez Hindusów w dziewięćdziesiątym trzecim po nieudanej pogoni za partyzantami. Z Wielkiego Meczetu odezwał się jęśliwy głos muezina, wzywający do porannej modlitwy, stłumiony przez szyby i warkot silnika. Choć była dopiero szósta, poboczem drogi ciągnął już na północ, pod więzienie śledcze, długi pochód czarno ubranych kobiet. Przez cały dzień stały uczezione prętów ogrodzenia otaczającego dawny pałac maharadży, wyczekując wieści o aresztowanych, a wieczorem wracały do domu, by rano ruszyć z powrotem drogą wzdłuż

rzeki. Matyasowie widzieli je kiedyś z łódki ukrytej w pływających ogrodach.

– Często się to zdarza? – spróbował Adam jeszcze raz.

W odpowiedzi Abdul Rahman uderzył pięścią w tylną ściankę szoferki, dając znak swoim ludziom pod budą, i przyhamował delikatnie przed bunkrem na skrzyżowaniu.

– Niby likwidacja bazy? – zapytał.

Powoli, prawie opieszale, objechał barykadę z worków i drucianych zasieków. Żołnierze chyba jeszcze spali, bo lufa karabinu wycelowana w jasne niebo, tuż pod dachem bunkra, nie powędrowała za samochodem. I wyglądało na to, że mimo wszystko nie będzie padać, dzień wstawał piękny.

– Tak, tak, likwidacja bazy – powtórzył Rahman. Adam zrozumiał, że niczego się od niego nie dowie, mimo przyzwolenia Komendanta. – Zresztą, zaraz będziemy na miejscu.

Jechali na północ. Domy, w starej dzielnicy upchane ciasno, rozstały się, gdy tylko minęli wzgórze z więzieniem „Papa 2”, znikły również wojskowe posterunki. Dalej ciągnęły się pola, ogrody i jabłkowe sady. W niektórych pospiesznie kończono zbiory, w innych owijano już drzewka wiązkami słomy.

– Wyjątkowo wczesna jesień – powiedział Rahman. – Dawno takiej nie było. – Roześmiał się na znak, że rozumie, jakim jest niemiarodajnym źródłem. Miał dopiero dwadzieścia dwa lata, a ostatnich sześć spędził w więzieniu na wzgórzu, gdzie nie rozróżnia się pór

roku. – Będziemy trochę kluczyć – wyjaśnił przeprasząco. – Tylko tak, żeby jakiego nieszczęścia nie było. Na wypadek, gdyby was Hindusi namierzyli. Rozumiesz, nowa baza. Prędzej czy później ją znajdą, ale jeszcze nie teraz. Chyba żeby przez was, cudzoziemców, bo się rzucacie w oczy.

Przejechali most na rzece znacznie węższej niż Džhelum i odbili na zachód. Po prawej stronie ukazała się duża połać wody, która już nie mogła należeć do głównego jeziora, ale i ona uciekła w tył, kiedy Rahman skręcił w boczną drogę. Jechali nią bardzo długo, aż znów ukazały się zabudowania, a słońce zaczęło przypiekać przez szyby.

– Dużo wojska w mieście? – zapytał Matyas, żeby odgonić senność. W szoferce było duszno, pachniało zgnilizną. Jabłka musiały jeździć z Rahmanem od dawna.

– Czy dużo wojska w mieście? – powtórzył Wysłannik i uśmiechnął się krzywo. – Trochę jeszcze pojeździmy, na wszelki wypadek. Trzeba tyłów pilnować. Żebyście nam kogo na głowę nie ściągnęli – zachichotał.

Dochodziło południe, kiedy Matyasowi rzeczywistość wymknęła się z rąk niby zbyt ciężki worek i przestał walczyć z Rahmanem. Caroline spała od dawna. Przez chwilę wydawało mu się, że są w pokoju, na łodzi Opiekuna, który pali w piecu i mówi, że mudżahedini ich sprawdzają, potem mignął mu jeszcze kawałek doliny z meczetem Hazratbal, białym i lśniącym na tle ośnieżonych gór, ale to musiało być złudzenie, ponieważ znajdował się z zupełnie innej strony jeziora. Chciał

powiedzieć Rahmanowi, że nie musi tak kluczyć, bo Opiekun trzymał ich z dala od miasta, nie potrafiliby odnaleźć w nim żadnego miejsca, ale już nie zdążył.

Przez długi czas Matyas rozróżniał w mroku jedynie siwą czuprynę doktora Firhoza, szefa sztabu, i tych mudzahedinów, którzy mieli na głowach białe chusty. Potem ktoś otworzył drzwi i w świetle z podwórka zobaczył, że izba jest pełna ludzi. Wszyscy siedzieli pod ścianami; Adam między doktorem a grubym mężczyzną w panterce, Caroline po drugiej stronie izby.

Nowa baza składała się z kilku zwykłych kamienic, które nie spełniały wymogów militarnych i trzeba je było przebudować. Partyzanci wybijali furtki w murach otaczających podwórka, kiedy więc drzwi sztabu się otwierały, słychać było uderzenia młotów i chrobot kruszonych cegieł.

Wchodziło coraz więcej ludzi, dużo też musiało wychodzić, ponieważ środek izby ciągle pozostawał pusty. Błyski światła następowały teraz co parę minut i Adam zaczął rozpoznawać kolory zawojów okręconych wokół twarzy tak ściśle, że odznaczał się kształt czoła, nosa i ust. Długi czas pod ścianą naprzeciwko siedział starszy mężczyzna w biało-czarnej chuście, potem zmienił go ktoś o znacznie młodszych oczach, ale zniknął przy następnym otwarciu drzwi.

Podczas krótkich dopływów światła Adam szukał Wysłannika. Długo był przekonany, że Rahman siedzi

po drugiej stronie doktora Firhoza, kiedy to jednak sprawdził, okazało się, że miejsce jest puste. Milczenie w izbie się przeciągało, szef sztabu nie odzywał się nawet wtedy, gdy składano mu szeptem meldunki. Adam nie mógł sam zacząć rozmowy, czekał więc i myślał, że i tak jest lepiej, niż się spodziewał.

Co parę minut dyżurny mudżahedin w biało-czarnej chuście przechodził przez pokój, nachylał się nad Firhozem i coś do niego mówił, ale nie otrzymywał odpowiedzi. Wracał do drzwi, zamykał je za sobą i znów wszyscy milczeli. Z zewnątrz dochodziło zgrzytanie wiertła.

Matyas zastanawiał się, czy na spotkanie przyjdzie przywódca powstania, a jeżeli nie, jak o niego zapytać. Mógł siedzieć i milczeć, jak długo życzyli sobie gospodarze, ale potrzebował podstawowych informacji, punktu zaczepienia.

- Macie tu remont - odezwał się, do nikogo w szczególności.

- Ano - przyświadczył mężczyzna w panterce.

Wszedł partyzant z meldunkiem. Powiedział parę słów, nie otrzymał odpowiedzi i zawrócił do drzwi.

Najwyraźniej nadal ich sprawdzano, a może powstańcy tak właśnie wyobrażali sobie udzielanie wywiadu. Matyas zaczął się bać, że zaraz odstawią ich ciężarówką pod stary meczet i tyle z tego będzie. Ale właśnie wtedy szef sztabu podniósł się, mówiąc, że pora ruszać na stybę do Starego Szejka. Za nim wstali inni i wyszli na rozświetlone podwórko, gdzie partyzanci ładowali gruz na taczki.